

Armenia - historia ukryta w naturze



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Armenia – historia ukryta w naturze

Opracował: Krzysztof Danielewicz, 2023 r.

Decyzja o wyborze Armenii jako kolejnego miejsca do odkrycia nie była przypadkowa. W 2017 r. byłem w Erywaniu na meczu Polska – Armenia, ale był to wyjazd tylko trzydniowy. Już wtedy wiedziałem, że na pewno tu wrócę, aby zwiedzić ten kraj bardziej szczegółowo. Jak zawsze, nie miałem żadnych szczegółowych planów i wykupiłem tylko trzy noclegi w Erywaniu. Reszta miała sama się zrealizować.

Ze względu na bezpośredni lot z Warszawy o 22.50, który trwa trzy godziny, Armenia jest dla naszych turystów łatwo dostępna. Już na lotnisku zauważyłem, że na lot czeka mnóstwo ludzi. Samolot LOT-u, wcale nie mały, był szczelnie wypełniony pasażerami, głównie Ormianami. Szczerze powiem, że dziwiła mnie nieduża liczba Polaków, pomimo długiego weekendu. Pewnie dlatego, że Kaukaz, choć nas przyciąga, ciągle nie jest oblegany turystycznie. Wojna z Azerbejdżanem i brak znajomości języków obcych też robi swoje.

Dzień pierwszy (29.04.2023 r.) – Erywań



Zdjęcie 1. Hotel Daniel w Erywaniu.

Po wylądowaniu w Erywaniu musiałem odczekać ponad 40 minut w długiej kolejce do kontroli paszportowej. W jej trakcie poza pytaniem o cel przyjazdu pogranicznik znowu wniknął, dlaczego byłem w Azerbejdżanie. Z kolei, kiedy jestem w Azerbejdżanie, Azerowie dopytują, po co byłem w Armenii. Swój konflikt graniczny w głupi sposób przenoszą na turystów. Dla mnie oba te narody są podobne pod względem, gościnności, wyglądu, kuchni, poza religią, którą w Armenii jest chrześcijaństwo. Zresztą jest to pierwszy kraj, który przyjął chrzest.

Po załatwieniu formalności poszedłem jeszcze do wypożyczalni samochodu wypytać o warunki wynajmu, bo taki miałem plan po 2 maja. Później dałem się złowić taksówkarzowi, który za około 100 PLN zawiózł mnie do małego i schowanego w uliczce hotelu. Tam szybko otrzymałem klucz i poszedłem trochę odespać zarwaną noc.

Po późnym śniadanku jako pierwszy cel zwiedzania wybrałem muzeum koniaku Ararat, którego nie udało mi się odwiedzić kilka lat wcześniej ze względu na brak wcześniej rezerwacji. Z mojego hotelu miałem tam około 30 minut wolnego spacerku. Miałem dwie opcje wizyty: tańszą za około 80 PLN i droższą za około 120 PLN, ale z degustacją trzech dziesięcioletnich koniaków. Jako miłośnik tego alkoholu musiałem wybrać droższą, na którą dodatkowo czekałem godzinę. W międzyczasie porobiłem zdjęcia w świetnie przygotowanym sklepie firmowym czy pokoju-poczekalni.



Zdjęcie 2. Muzeum Ararat.



Zdjęcie 3. Wejście do muzeum Ararat.



Zdjęcie 4. Najważniejsze koniaki w ofercie firmy.



Zdjęcie 5. Świetnie wyposażony sklep firmowy.



Zdjęcie 6. Pokój-poczekalnia, bardzo ciekawie przygotowany.

Ponieważ inna wycieczka nie dojechała, byłem jedyną osobą na tę godzinę i miałem tylko dla siebie miłą Ormiankę Lię jako przewodniczkę. Po kolei opisała mi historię firmy założonej w 1887 r. oraz proces produkcji koniaku. Miałem okazję zobaczyć także Aleję Prezydencką, gdzie znajdują się beczki pełne koniaka, opisane nazwiskiem głowy obcego państwa, która odwiedziła Armenię. Widziałem beczki z nazwiskami Lecha Wałęsy i Bronisława Komorowskiego, które podobno należą do nich i ich rodzin. Była też sala, a w niej beczka koniaku tzw. porozumienia mińskiego, która ma zostać otwarta w momencie, kiedy zakończy się pokojowo konflikt w Górskim Karabachu pomiędzy Azerbejdżanem i Armenią. Z oczywistego powodu wszyscy chcą ją jak najszybciej otworzyć... Widziałem też beczkę znanego piosenkarza francuskiego, ormiańskiego pochodzenia, Charlesa Aznavoura, który ma nawet swoją linię o nazwie Aznavour, z podpisem na butelce. Niestety zmarł dwa tygodnie przed uroczystością wypuszczenia jego linii koniaku.



Zdjęcie 7. Beczki z koniakiem.



Zdjęcie 8. Aleja Prezydencka.



Zdjęcie 9. Beczka prezydenta Lecha Wałęsy.



Zdjęcie 10. Beczka prezydenta Bronisława Komorowskiego.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 11. Beczka Charlesa Aznavoura.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 12. Beczka pokoju.



Zdjęcie 13. Wnętrze muzeum.

Na zakończenie odbyła się degustacja trzech rodzajów 10-letniego koniaku: odmian Akhtamar, Armenia i ulubionego koniaku Churchilla – Dvin. Premier Wielkiej Brytanii podobno uważał, że aby żyć długo, trzeba palić cygara, pić koniak i nigdy nie uprawiać sportu. Chociaż każdy koniak miał 10 lat, smakował zupełnie inaczej. Najmocniejszy, bo o zawartości 50% alkoholu, był ten ulubiony przez Churchilla. Ciekawe, że koniak przechowywany jest zawsze w dębowych beczkach, wytwarzanych z dębu pochodzącego z północnej Armenii. Beczki wykorzystuje się przez 80 lat, a następnie służą do produkcji nowych beczek, które muszą być podgrzewane od wewnątrz, aby dąb był plastyczny i pozwalał zamknąć beczkę. Nie wykorzystuje się do uszczelniania żadnych związków czy klei chemicznych, wszystko jest produkowane w stary, tradycyjny sposób.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 14. Sala degustacji.



Zdjęcie 15. Przygotowane trunki do degustacji.



fol. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 16. Koniak Otborny z naklejką „Krzysztofa podróże bez planu”.

Po wizycie w muzeum, uradowany i wyluzowany, udałem się na obiad do restauracji Taverny, w której jadłem w 2017 r. Pamiętałem, że była tam genialna kuchnia ormiańska za rozsądną cenę. Polecam z całego serca – Tavern Yerevan, ulica Amiryan 5, www.pandokyerevan.com.



Zdjęcie 17. Taverna Erywań.

Zdjęcie 18. Smaczny świński szaszłyk.

Po pysznym obiedzie udałem się na obchód miasta w rejon teatru. Zauważyłem wielu młodych ludzi, którzy szli w jakimś kierunku, więc poszedłem za nimi. Niespecjalnie byłem przygotowany do zwiedzania Erywania, więc obserwowałem, gdzie udają się młodzi ludzie. Okazało się, że niedaleko od teatru na placu odbywają się tradycyjne tańce ormiańskie. Wiele razy widziałem to w internecie i zawsze chciałem zobaczyć na żywo. Okazało się, że tego dnia odbywało się jakieś święto tańca i wspólnie przez prawie dwie godziny tańczyło kilkaset



Ze smakiem zjadłem świński szaszłyk i jagnięcy kebab, o smaku nie do zdobycia w Polsce. Dodatkowo pyszna sałatka letnia, tradycyjny chleb, które popijałem czerwonym winem, kawą espresso i wodą. Za wszystko zapłaciłem około 140 PLN. Cena w stosunku do jakości i ilości jedzenia bardzo uczciwa. Aby dostać się do restauracji, lepiej mieć zarezerwowany stolik, mi się udało bez, ale czekałem ponad 20 minut. Na kolejny dzień już zrobiłem rezerwację, która następnego dnia była jeszcze potwierdzana przez lokal. Widać, że mają bardzo duże obłożenie.



Zdjęcie 19. Delikatny i smaczny barani kebab.

w ósmej klasie zapisałem się do zespołu tanecznego, gdzie bardzo brakowało chłopców i pani bardzo mnie prosiła o pomoc. Jednego dnia przyprowadziłem jej 22 kolegów, a pani oniemiała na ich widok. Tutaj mężczyźni tańczą publicznie i są z tego dumni, gdyż wspaniale buduje to relacje społeczne i dumę narodową. Aż by się tak chciało w Polsce...

osób, głównie młodych Ormian. Do tańczących dołączali także turyści. Całość była prowadzona przez wodzireja i kilkunastu profesjonalnych tancerzy, ubranych w tradycyjne stroje ormiańskie. Ogromna porcja pozytywnej energii. W tym kraju śpiew i taniec są powodami do dumy. Do dzisiaj pamiętam, jak kiedyś



Zdjęcie 20. Gmach teatru w Erywaniu.



Zdjęcie 21–22. Wspólne tańce Ormian.



Zdjęcie 23. Sklep z souvenirami.

Po tańcach, kiedy zrobiło się ciemno i trochę popadało, udałem się w drogę powrotną do hotelu. Po drodze zobaczyłem jednak, że w jednym z barów o nawie Atmosphere śpiewa piękna Ormianka. Zresztą ormiański typ urody bardzo mi się podoba. Wszedłem na chwilę i utknałem tam na ponad dwie godziny. Przez ten czas co kilka minut na scenę wchodzili kolejni artyści i pięknie śpiewali. Występy artystów śpiewających muzykę na żywo odbywają się tu codziennie. Atmosfera przemiła, w środku głównie Ormianie. Zauważyłem także mężczyznę z kobietą, po jej stroju było widać, że to muzułmanka. Jak się później okazało, byli to goście z Iranu. Kiedy wchodziłem około godziny 21.30, w barze znajdowało się kilkanaście osób, kiedy zaś wychodziłem około 24.00, klub był pełen ludzi i wszyscy świetnie się bawili. To był naprawdę udany dzień. Po co więc planować – wystarczy iść z ludźmi, a życie nas zaskoczy.

Dzień drugi (30.04.2023) – Erywań

Rano zrobiłem krótki trening, aby wypocić wczorajszy koniak, i zjadłem późne śniadanie. Po śniadaniu trzeba było posiedzieć i opisać wrażenia z dnia poprzedniego. Tyle się dzieje, że każde zaniedbanie powoduje utratę ważnych informacji czy spostrzeżeń.



Po śniadaniu udałem się na plac Republiki i spacerowałem ulicą Północną, najbardziej reprezentacyjną w Erywaniu, pełniącą funkcję deptaku. Zaczyna się ona na placu Republiki, gdzie położone są Muzeum Historii Armenii i budynki rządowe, biegnie do placu Teatralnego, a następnie przechodzi w plac Francuski i słynne wodospady na górze dominującej nad Erywaniem. Po drodze wykupiłem sobie jeszcze wycieczkę na kolejny dzień, w ramach której była planowana wizyta w winiarni, połączona z degustacją.



Zdjęcie 24–25. Ulica Północna w Erywaniu.



Zdjęcie 26. Ulica Północna w Erywaniu oraz zejście do centrum handlowego.



Zdjęcie 27. Centrum handlowe pod ulicą Północną w Erywaniu.

Po spacerze zjadłem obiad w mojej sprawdzonej Tavernie, gdzie miałem tylko godzinę na posiłek. Niestety, lepsze restauracje niechętnie rezerwują stolik dla jednego gościa na dłużej niż godzinę, rachunek ekonomiczny bierze górę. Po obiedzie, podczas którego ponownie zjadłem szaszłyk i kebab, ale z innych rodzajów mięsa, oczywiście popijając dobre czerwone wino, udałem się na kolejny spacer. Tym razem chciałem obejść północno-wschodni rejon starego miasta. Po drodze mijałem wiele ciekawych budynków i restauracji.



Zdjęcie 28. Moje ulubione danie: czerwone wino, szaszłyk, kebab i chleb.

W rejonie placu Francuskiego zauważyłem obecność sceny, gdzie najwyraźniej przygotowywano się do koncertu. Dookoła gromadziło się mnóstwo ludzi, którzy na chwilę rozpierzchli z uwagi na chwilowy deszcz. Około godziny 18.00 rozpoczął się koncert jazzowy w ramach Erywańskiego Międzynarodowego Dnia Jazzu. Po godzinnym słuchaniu muzyki udałem się do mojego sprawdzonego już klubu muzycznego Atmosphere, gdzie codziennie można posłuchać muzyki na żywo. W klubie utknąłem na kolejne dwie i pół godziny, słuchając muzyki. Część artystów już znałem z poprzedniego dnia, część natomiast była nowa. Spędziłem miły wieczór przy pięcioletnim koniaczku i wspaniałych artystach. Widać było, że do klubu

przychodzi wielu miłośników ormiańskiej muzyki, którzy w miłej atmosferze klubu oddawali się prawdziwej uczcie muzycznej.



Zdjęcie 29. Erywańskie Międzynarodowe Dni Jazzu.



Zdjęcie 30. Klub Atmosphere.

Dzień trzeci (1.05.2023) – wyjazd poza miasto na wykupioną wycieczkę

Po dwóch dniach w Erywaniu przyszedł wreszcie czas na wyjazd poza miasto. Erywań oczywiście jest bardzo ciekawy, ale osobiście wolę prowincje, gdzie jest większy spokój i można zauważyć wiele ciekawostek.

Wycieczkę wykupiłem dzień wcześniej (za około 80 PLN, z czego przedpłata to 30 PLN) od jednego z wielu ulicznych organizatorów wycieczek jednodniowych, który znajdował się obok znanej mi restauracji Taverna Erywań. Rano okazało się, że są tylko cztery osoby i chcą nas wcisnąć do osobówki, ale jedna para oponowała, że będzie niewygodnie. W związku z powyższym kazano nam chwilę poczekać. Po jakichś 15 minutach pojawiła się młoda dziewczyna i podstawiono nam osobówkę, ale o trzech rzędach siedzeń, dzięki czemu wszyscy wygodnie siedzieli i udaliśmy się na wycieczkę.



Zdjęcie 31. Typowy punkt sprzedaży wycieczek turystycznych.

Pierwszym przystankiem był monaster Khor Virap, bardzo blisko tureckiej granicy, skąd normalnie rozpościera się piękny widok na świętą górę Ararat, która leży w Turcji. Zresztą prowincja także posiada nazwę Ararat. Piszę „normalnie”, bo nam szczęście nie sprzyjało i górę zasłaniały chmury. Sam kompleks powstał w miejscu, gdzie według historii przez 13 lat

zamknięty był na głębokości 6 m św. Grzegorz. Podobno stąd wywodzą się początki państwowości ormiańskiej i chrześcijaństwa, które Armenia przyjęła jako pierwsza na świecie. Obecnie znajdują się tu – poza monastylem – mur otaczający cały kompleks i domy księży. Nieopodal jest cmentarz, którego stara część pokazuje, jak kiedyś chowano ludzi, czyli – podobnie jak u muzułmanów – kładąc tylko blok skalny na miejscu pochówku. Nad całością góruje wzgórze z ogromnym masztem z flagą, które jest dobrym punktem widokowym.



Zdjęcie 32. Monastyr Khor Virap.

Po około godzinie udaliśmy się w dalszą podróż na południe. Po drodze mieliśmy okazję obserwować armeńską prowincję, która niestety nie wygląda za dobrze. Wsie sprawiają wrażenie, jakby czas się zatrzymał w okresie upadku ZSRR. Widać po dziurawych dachach, że część domów jest opuszczona, a bloków nie remontowano od momentu ich oddania. W jednej z miejscowości o nawie Bociania Wieś widzieliśmy dziesiątki bocianich gniazd zajętych przez te piękne ptaki, wysiadujące jaja. Mijaliśmy też ogromny kompleks szklarni, skonfiskowany byłemu premierowi, siedzącemu aktualnie w więzieniu. Dalej mijaliśmy też wielki kompleks stawów rybnych zarządzany przez firmę państwową. W pewnym momencie na skrzyżowaniu skręciliśmy w lewo, ponieważ jadąc prosto, wjechalibyśmy na terytorium Azerbejdżanu, które

jest enklawą bez bezpośredniego połączenia z głównym terytorium Azerbejdżanu. Po prawej stronie widać było na wzgórzach punkty straży granicznej i ciągnące się kilometrami okopy czy stanowiska ogniowe, przygotowane na wypadek wybuchu wojny. Gdzieś tam dawało się zauważyć, że system cały czas jest rozbudowywany.



Zdjęcie 33. Widok na całość zabudowaną monastynu.

Po przejechaniu kolejnego odcinka wjechaliśmy do innej prowincji i drogi win. Teren ten – wyraźnie ładniejszy i bardziej górzysty – słynie z tego, że mieszkańcy zajmują się produkcją wina z różnych owoców. Zgodnie z planem zatrzymaliśmy się u jednej starszej pani, gdzie nasz kierowca Artur przygotował nam degustację. Zaczęliśmy od różnych win owocowych, następnie piliśmy koniaki, aż doszliśmy do wódki, z której najmocniejsza, zwana tutówką, miała 75% i podobno jest używana w małych ilościach w celach leczniczych. Wódka jest powszechnie produkowana w całej Armenii z owoców morwy. Nasz przewodnik opowiedział dobry dowcip dotyczący tutówki. Według uczonych chińskich mieszkańcy Górskiego Karabachu żyją prawie 100 lat, bo piją codziennie małą ilość tutówki, natomiast angielscy badacze udowodnili, że gdyby jej nie pili, żyliby 200 lat.



Zdjęcie 34. Sympatyczna właścicielka posesji.



Zdjęcie 35. Degustowane pyszności.

W trakcie degustacji atmosfera wyraźnie się rozluźniła i ludzie stali się bardziej rozmowni. Okazało się, że pozostałe osoby to Rosjanie. Jedna para i jedna dziewczyna to rodzina, natomiast młoda Rosjanka podróżuje sama i pochodzi z Moskwy. Nie obyło się bez wątków politycznych. Okazało się, że nasza trójka Rosjan bardzo krytykuje to, co robi Putin, co też było zgodne z poglądami naszego przewodnika Artura. Młoda Rosjanka natomiast wyraźnie stroniła od wydawania jakichkolwiek opinii. Nawet w pewnym momencie, kiedy wyjęła telefon, Rosjanin Andriej zażartował, że ma nadzieję, że nie melduje do FSB i nie będzie aresztowany, gdy tylko wyląduje w Rosji. Nasz przewodnik powiedział, że brał w 2020 r. udział w wojnie w Karabachu, gdzie wspierali młodych żołnierzy ormiańskich. Powiedział, że jeżeli ktoś chociaż raz widzi umierających 18-letnich chłopców, to nigdy nie będzie uważał, że życie jest warte, aby je oddawać za terytorium. Według niego na świecie jest dosyć miejsca dla wszystkich. Zresztą pierwszy toast w Armenii zawsze pije się za pokój. Stwierdził też, że pomimo propagandy sukcesu i potężnej armii podczas ostatniej wojny z Azerbejdżanem okazało się, że armia jest beznadziejnie słaba. Dowódcy wojskowi w niektórych przypadkach uciekali do lasu, bo nie wiedzieli, jak dowodzić podległymi jednostkami. Wynikało to z korupcji w armii i kupowania stopni wojskowych. W jego opinii obecny premier Armenii cieszy się dużym poparciem społecznym i Ormianie w końcu nie boją się głośno prezentować swoich opinii. Za czasów poprzednika zdarzało się bowiem, że osoby głośno wyrażające niezadowolenie znikwały bez śladu.







ft. Krzysztof Danielewicz



ft. Krzysztof Danielewicz



Zdjęcie 36–40. Winiarnia Areni.

Po degustacji pojechaliśmy jeszcze odwiedzić winiarnię, gdzie poza kolejną degustacją mogliśmy przejść się po winiarni, oglądając tysiące pięknie ułożonych butelek i beczek z winem. Można było też kupić wino na miejscu. Rejon ten słynie z produkcji czerwonych winogron odmiany Areni, które są podobno jednymi z najstarszych szczepów na świecie. Zresztą w jaskiniach w Armenii odnajdywano miejsca produkcji win stare na kilka tysięcy lat. Uważa się, że rejon Armenii i Gruzji to początki światowego winiarstwa.

Kolejnym punktem było zwiedzanie jaskini, pięknie położonej w ścianie wysokiej i stromej góry. Odkryto w niej jedne z najstarszych butów wykonanych z jednego kawałka skóry, datowanych na 6000 lat, a także wiele artefaktów z okresu brązu, który służyły m.in. do produkcji wina i życia codziennego. Można też tam zauważyć małe, śpiące nietoperze, pochowane w szczelinach skalnych.



foto. Krzysztof Danielewicz



foto. Krzysztof Danielewicz





fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 41–44. Jaskinia, w której znaleziono pozostałości produkcji win.

Po zwiedzeniu jaskini udaliśmy się na posiłek do miejscowości Arpi. Była to kolejna okazja spróbowania kuchni ormiańskiej w najlepszym wykonaniu. Zjedliśmy m.in. tandir – szaszłyk, który jest przygotowywany w zamkniętych glinianych piecach, wkopanych w ziemię, po wyjęciu pozostałości po palonym ogniu. Ciepło wykorzystywane do upieczenia pochodzi nie z ognia, a z nagranych ścian pieca. Smaku tego dania nie da się do niczego naszego porównać – pyszne i soczyste mięso wraz z letnią sałatką czy chlebem własnego wypieku, tzw. lepiaszka, to cudowne doznania kulinarne. W Armenii modne są tzw. domowe restauracje, gdzie je się domowy obiad, popijając trunki własnej produkcji za ustaloną cenę. Problem polega na tym, że nie ma wyboru i je się to, co akurat jest na obiad. Początkowo mieliśmy do takiej jechać i za cenę około 80 PLN zjeść porządny ormiański obiad, ale chyba coś nie zagrało i wylądowaliśmy w restauracji, gdzie końcowy rachunek był nawet wyższy niż w Taverna Erywań.



Zdjęcie 45. Piec typu tandir.



Zdjęcie 46. Soczyste i smaczne szaszłyki.

Po posiłku udaliśmy się już w ostatnie zaplanowane na ten dzień miejsce, jakim był kompleks Noravanq. Należało do niego dojechać drogą prowadzącą szczeliną skalną. Piękne widoki zresztą towarzyszyły nam już od pewnego czasu, a gdzieś tam dodatkowo płynęła rzeka. Rejon Arpi jest tak popularny turystycznie, że ceny działek i nieruchomości są porównywane do Erywanii. Po wejściu na górę, poza samym starym i bardzo ładnym monastylem, mieliśmy piękne widoki na góry i ciągnącą się poniżej drogę. Piękne zwieńczenie bardzo udanego dnia. Tak jak czułem, wszystko co, najpiękniejsze, jest zawsze poza miastami. Natura i normalni, zwykli ludzie z ich kuchnią i alkoholami.



Zdjęcie 47. Piękne widoki towarzyszące podróży.



Zdjęcie 48–49. Kompleks Norawanq.

Dzień czwarty (2.05.2023) – wynajem samochodu i podróż do Dilidżanu

Rano zjadłem szybkie śniadanie. Doszło do nieprzyjemnej sytuacji – otóż pani z hotelu kazała mi zapłacić za wodę z pokoju, która w każdym hotelu na świecie jest za darmo. Zapłaciłem, ale zamierzam zadzwonić do menedżera i zapytać, dlaczego zmieniają ogólnie przyjęte zasady. Dodatkowo padła prośba abym wystawił im najlepszą opinię na Booking – oczywiście tego nie zrobię, bo nie lubię, jak ktoś traktuje ludzi jak idiotów. Hotel jest świetnie położony, w dobrej cenie, ale są próby oszustwa. Najpierw zmieniono mi pokój na niby większy, po czym dano do wyboru: albo się przeniosę, albo zapłacę więcej. Potem woda z pokoju płatna – nie podobają mi się tego typu zagrania. Trochę jeżdżę po świecie i znam zasady.

O godzinie 12.00 byłem w firmie Hertz wynajmującej auta – polecam, bardzo profesjonalna obsługa. Chwilę po 12 jechałem już swoim nowiutkim Suzuki Swift w automacie w kierunku miejscowości i jeziora Sevan. Na początku czułem lekki stres, bo większość dróg nie ma wymalowanych pasów pomiędzy jezdniami. Trudno jest ustalić, kiedy włączyć migacz przy zmianie pasa. Widać na każdym kroku policję, która na wzór gruziński jeździ na włączonych światłach, co ma pokazać ich obecność, ale nie straszyć ludzi. Rzeczywiście, dużo jeżdżą, ale nie przeszkadzają.



Zdjęcie 50. Moje świeżo wynajęte auto.

Po około godzinie z hakiem dojechałem do miasta Sevan, które poza centrum wygląda tak, jakby się zatrzymało w latach 80. XX w. Kolejny raz mam wrażenie, że wiele kamienic jest opuszczonych i skłaniających się ku upadkowi. Widać dużą biedę i stagnację. Niedaleko od miasta Sevan leży ogromne jezioro Sevan, gdzie znajduje się wiele restauracji i hoteli. W mieście zjadłem szaszłyk i sałatkę za trzy razy mniejszą cenę niż w Erywaniu.





Zdjęcie 51–53. Sevan.

Po spacerze po Sevan pojechałem w kierunku jeziora, zrobiłem kilka zdjęć i restauracji nad samym jeziorem. Wjechałem na trasę w kierunku Dilidżanu, aby po chwili zjechać na półwysep Sevan – kawał terenu wchodzącego mocno w jezioro, na szczycie dwa monastyny i ładny widok na okolicę. U podnóża góry znajdują się parkingi i typowa infrastruktura turystyczna, restauracje i sklepy z souvenirami, spotkałem też dużą wycieczkę z Polski. Oczywiście większość turystów to Rosjanie, ale grzeczni i kulturalni. Na parkingu można też wynająć łódkę i popływać po jeziorze, chociaż jego górzyste otoczenie i rozmiar nie zachęcają do rejsu – zbyt chłodno i wietrznie.



Zdjęcie 54. Jezioro Sevan.



Zdjęcie 55. Jeden z pensjonatów położonych nad jeziorem Sevan.



Zdjęcie 56. Infrastruktura turystyczna na półwyspie Sevan.



Zdjęcie 57–58. Kościoły na półwyspie Sevan.



Zdjęcie 59. Jezioro Sevan, widok z półwyspu.



Zdjęcie 60. Półwysep Sevan.

Po zwiedzeniu zabytków i zrobieniu wielu zdjęć udałem się w kierunku Dilidżanu. Odbiłem od jeziora i wjechałem w piękne doliny górskie. Niestety zaczął padać deszcz i piękne widoki popsuły chmury. Bardzo długim tunelem, a następnie serpentynami w dół wjechałem do wsi Dilidżan. Po drodze zatrzymałem się, aby uwiecznić piękne widoki. Wpisałem w nawigację adres hotelu, ale wyprowadziła mnie w drogę nieprzejezdną, na szczęście pomógł mi trafić starszy mężczyzna. W końcu dojechałem do bardzo dobrego hotelu. Miałem piękny widok z okien, choć niestety pogoda była słaba. Wypiłem wino z granatu zakupione nad jeziorem Sevan, zjadłem kolację i zakończyłem ją koniakiem. Wspaniałe samopoczucie, wolność przemieszczania, odkrywanie nowych miejsc, prawdziwa wolność i dobre emocje... – polecam. Wieczorem nirwana po koniaku, muzyka ormiańska w TV i opisywanie wrażeń z całego dnia. Czuję, że żyję, że mózg się odżywia widokami i wyzwaniem. Rano jeszcze był stres związany z wynajmem samochodu, a wieczorem dobre samopoczucie, że się dało radę, że kolejny raz wyszło się ze strefy komfortu i że warto, jedno jest życie, naprawdę warto...





Zdjęcie 61–62. Ciekawe górzyste widoki po drodze do Dilidżanu.

Dzień piąty (3.05.2023) – objazd północnej Armenii

Niestety kolejny dzień był bardzo deszczowy, jeszcze w nocy słyszałem intensywny deszcz i rano sytuacja się nie zmieniła. Nie było jednak opcji na siedzenie bezczynne w hotelu. Nie po to płaciłem za wynajem samochodu, aby stał bezużyteczny. Po zaskakująco pysznym śniadaniu podjąłem decyzję, że przejadę się samochodem po pętli Dilidżan, Hevan (Idjevan), Noyemberyan, Ayrum, Alaverdi, Tumanyan, Vanadzor, Dilidżan. Według mapy trasa zapowiadała się ciekawie przyrodniczo i dawała gwarancję, że wrócę o rozsądnej godzinie.

Po paru kilometrach od wyjazdu z Dilidżanu zauważyłem kościół na bardzo wysokim wzgórzu i drogę prowadzącą do miejscowości. Był znak, że jest to Monastyr św. Dawida. Pojechałem zatem i zacząłem „na czuja” wjeżdżać na górę wąskimi uliczkami przez wieś. Po jakimś czasie droga przeszła z asfaltowej w polną i zaczęła być coraz gorszej jakości, a dodatkowo była jeszcze mokra po deszczach. W pewnym momencie poddałem się, ponieważ oceniłem, że gra jest niewarta świeczki. Uszkodzę samochód lub zakopię się w błocie i skończy się przyjemność podróżowania.

Po drodze praktycznie co kilka kilometrów zatrzymywałem się i robiłem zdjęcia. Pierwszą dużą miejscowością, do której wjechałem, aby zobaczyć, jak i co wygląda, był Idjevan. Pojeździłem po mieście, wjechałem na górne ulice, wyjeżdżając z miasta, aby zobaczyć, jak mieszkają zwykli ludzie. Miałem piękne widoki górskie i zazdrościłem ludziom tego, jak i gdzie mieszkali. Miejscowość jest całkiem dobrze utrzymana, dużo zieleni i piękne widoki wokół. Wszedłem nawet do lokalnego baru, gdzie zjadłem dwa placki z mięsem baranim w środku, jakby złożony na pół lawasz z cienką warstwą mięsa, nazywało się to lamadzo. Dwa placki plus kawa, rachunek około 9 PLN. W Erywaniu za te pieniądze nie dostałbym nawet kawy.



Zdjęcie 63. Kolejne ciekawe góryste widoki na trasie.

Widoki cały czas się zmieniały, a ja kilkadziesiąt razy opuszczałem auto, aby podziwiać i robić zdjęcia – dobrze, że nie było dużego ruchu. Opisywać przyrody się nie da, zdjęcia mówią same za siebie. Bardzo soczysta zieleń, pasące się zwierzęta, w tym świnie, co zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Na łące pasło się kilkanaście wolnych świń, nikt ich nie pilnował i do niczego nie były przywiązane. Już teraz wiem, dlaczego mięso świńskie, a szczególnie szaszłyk, tak smakuje w Gruzji czy Armenii. Widziałem też stado czterech krów, które bez żadnej opieki wracały do swojego gospodarza.





Zdjęcie 64–66. Miasteczko Idjevan.

Przejeżdżając przez mniejsze miejscowości, zauważyłem wyraźnie, że nie są one dofinansowane. Wiele opuszczonych i zniszczonych mieszkań, dziury w bocznych drogach czy zrujnowane fabryki niestety psuły efekty estetyczne wywołane pięknymi górami. O ile centra miast jeszcze jakoś wyglądały, to boczne ulice były już bardzo surowe, często bez drogi asfaltowej. Dlatego na każdym kroku dawało się dostrzec ogromną liczbę starych radzieckich maszyn, jak uazy, urale, krazy czy łady niva. Bez tych pojazdów dojazd do domu słabą drogą na wzgórze nie byłby możliwy.

Każdy przejazd przez szczyt góry gwarantował nowe widoki. Jechałem dosłownie kilkanaście metrów od gruzińskiej granicy, było widać punkty straży granicznej. Wrażenie robiło też duże jezioro położone w dolinie. Na szczęście ruch samochodowy był bardzo słaby a drogi główne – w większości świetne. Przez większość trasy widziałem też biegnącą szczytami linię kolejową. O ile pamiętam z jednego z programów, biegnie ona z Armenii do Gruzji i jest bardzo malownicza, ponieważ przechodzi przez tunele, mosty itp.















Zdjęcie 67–77. Piękne armeńskie widoki.

Kolejny duży przystanek zrobiłem w mieście Alaverdi, które zwróciło moją uwagę ze względu na gigantyczny i zrujnowany już zakład przemysłowy wyglądający na starą hutę. Miejscowość jest tak położona, że nawet nasze Zakopane się nie umywa, a ktoś w centrum miasta stawia gigantyczny zakład, który całkowicie i dziesiątki lat rujnuje szanse miasta na rozwój turystyki. Fabryka nie działa, a koszt jej usunięcia na pewno jest nie do udźwignięcia przez Ormian. Zrobiłem kilka zdjęć ze starego mostu biegnącego na rzeką płynącą wzdłuż miasta. Kiedy wróciłem do auta, starszy Ormianin grzecznie poprosił mnie o podwózkę. Oczywiście nie odmówiłem. Był to emerytowany kierowca o imieniu Mikołaj. Potem się pożegnaliśmy, a ja zrobiłem jeszcze przerwę na obiad. Zjadłem podobny co wcześniej placek, kawałek pizzy, wypłem podwójną kawę i wodę mineralną – za to wszystko zapłaciłem 15 PLN. Wszędzie, gdziekolwiek się zatrzymuję, mają bardzo szybki internet.



Zdjęcie 78. Skalny most w Alaverdi.



Zdjęcie 79–80. Alaverdi.



Zdjęcie 81. Ruiny fabryki w Alaverdi.



Zdjęcie 82–83. Okolice Vanadzor.

W końcu dojechałem do stolicy prowincji i bardzo dużego miasta Vanadzor, które w deszczową pogodę nie budzi zachwytu, jednak otaczające go góry są fantastyczne. Miasto jest położone bardzo wysoko, a wszystkie szczyty pokryte są śniegiem, temperatura spadła do kilku stopni. Dobrze, że zabrałem ciepłe rzeczy z Polski, a miało być codziennie 30 stopni... Ostatni odcinek do Dilidżanu pokonałem bardzo sprawnie i szybko, ponieważ droga była już prosta i z górki. Po drodze widziałem po lewej stronie ogromne przestrzenie łąk, a po prawej stronie poniżej – miejscowości rolnicze i pola uprawne. Szkoda tylko, że nie było słońca. Przez cały dzień miałem przepiękne widoki, nie pamiętam, kiedy ostatni raz przyjąłem taką dawkę naturalnego piękna.

Dzień szósty (4.05.2023) – wyjazd do Giumri

W słońcu Dilidżan wyglądał zupełnie inaczej. Chciałem od razu jechać do Giumri, ale coś mnie podkusiło, aby objechać miejscowość autem. Okazało się, że w niedalekiej odległości od stawu, który uważałem za centrum, znajduje się główne centrum miasteczka z infrastrukturą handlową, edukacyjną czy policją. Nieopodal odkryłem też kwartał bardzo ładnie odrestaurowanych kamieniczek w oryginalnym stylu. Dodatkowo w uliczki tej były piękne widoki na góry. Pojechałem też na dworzec kolejowy, który według nawigacji działał normalnie, ale okazało się, że jest w ruinie.















Zdjęcie 84–93. Dilidżan.

W związku z tym, że dzień wcześniej padało i moje auto było bardzo zabłocone, postanowiłem pojechać na jakąś myjnię i je umyć. Myjnię szybko znalazłem, ale niestety pan z obsługi, zamiast wypłukać błoto, polewał auto pianą, a ja chciałem zruszyć błoto gąbką. Nie pomyślałem i po umyciu auta okazało się, że jest całe porysowane. To, ze względu na mój charakter, bardzo psuło mi nastrój. Już sobie wyobrażałem przepychanki z panem w wynajmie samochodów odnośnie do rys na aucie, które było praktycznie nowe.

Jadąc do Vanadzor, które jest na trasie do Giumri, cały czas myślałem, że najlepiej byłoby znaleźć jakiegoś lakiernika, który by to spolerował i lakiem usunął porysowania. Tak jak pomyślałem, tak zrobiłem. Zatrzymałem się w pierwszym z brzegu przy wjeździe do Vanadzor warsztacie samochodowym i zapytałem, czy nie znają kogoś, kto by to zrobił. Kazali mi przejść ulicę, wejść do zielonej bramy i zapytać o imię, które już zapomniałem. Za zieloną bramą był starszy, spokojny mężczyzna, który akurat przygotowywał do lakierowania starą ładę. Obejrzał auto i powiedział, że najpierw musimy je umyć, aby ocenić, co i jak. Znalazłem myjnię, gdzie wcześniej tankowałem auto, i ponownie wróciłem do lakiernika. Lakiernik ze swoim uczniem

usunęli wszystkie zawinione przeze mnie wady, ja zapłaciłem 80 PLN i w końcu ze spokojem mogłem kontynuować podróż.

Wjechałem do Vanadzor, które dzień wcześniej wydawało mi się ponure ze względu na deszczową pogodę. Trochę pojeździłem po mieście, trochę pochodziłem, zjadłem obiad i pojechałem dalej. Centrum miast jest OK – nowoczesne zadbane ulice handlowo-usługowe dają mieszkańcom wszystko, co im potrzeba. Natomiast już peryferie wyglądają słabo, dominują stare zaniedbane ulice i bloki. Jednak okolice, piękne góry czy odosobnione wsie powodują, że warto się tu zatrzymać na kilka godzin i to obejrzeć.









Zdjęcie 94–99. Vanadzor.

W kierunku Giumri jechałem piękną, bardzo szeroką doliną, która po obu stronach porośnięta była rozległymi łąkami, gdzie wypasano zwierzęta. Odwiedziłem nawet jedną z położonych tam wsi, gdzie obejrzałem bardzo stary kościół, obok którego leżał stary tradycyjny cmentarz,

gdzie nie było krzyży, tylko bloki skalne. Znałem już ten system pochówku z początku mojej podróży. Zabudowanie wiejskie były bardzo zaniedbane, u nas powiedzielibyśmy, że nie widać gospodarza, ale cóż, takie klimaty. Tak czy inaczej, klimatyczne wsie w połączeniu z pięknem przyrody powodują, że warto to zobaczyć. Ludzie są spokojni i mili, jeżeli się do nich zagada. Często kierowcy trąbią i pozdrawiają, jeżeli widzą turystę robiącego zdjęcia. Pewnie w większości myślą mnie z Rosjaninem, ale cóż, tego nie zmienię.

Im bliżej Giumri, tym teren się wypłaszczał, ale cały czas miało się ogromną przyjemność z podróżowania – mało samochodów, a do stylu jazdy Ormian szybko się przyzwyczailem. Trzeba po prostu trochę bardziej uważać, tym bardziej że w większości przypadków nie ma wymalowanych pasów na drodze, nawet jak się mieszczą dwa czy trzy samochody.













Zdjęcie 100–109. Widoki na trasie do Giumri.

Kilka kilometrów przed Giumri zauważyłem ogromny cmentarz i zatrzymałem się, aby zrobić kilka zdjęć, jak się chowa współcześnie ludzi w Armenii – mam taki zwyczaj w każdym kraju. Kiedy się zatrzymałem, zauważyłem, że jest tu bardzo duży, leżący przy samej jezdni kwartał dedykowany poległym w Karabachu żołnierzom. Robiąc zdjęcia, dostrzegłem, że większość zginęła w 2020 r. i miała po 19–20 lat, tylko kilku było starszych. Widziałem też groby kilku, którzy polegli w 2022 r. Na każdym grobie jest zdjęcie poległego w mundurze. Zauważyłem już w Sevan, że np. maluje się ogromny obraz na ścianie kamienicy, w której mieszkał poległy. Kiedy podszedłem bliżej grupki ubranych na czarno ludzi, spostrzegłem starszą kobietę, która płakała i całowała obraz poległego żołnierza. Podszedł do mnie kierowca taksówki i powiedział, że mogę zrobić zdjęcie, a kobieta to matka oplakująca jedynego syna, który poległ trzy lata wcześniej. Obok leżało też dwóch jego kolegów, którzy pochodzili z tej samej wsi. Dla mnie, byłego żołnierza, obraz był bardzo przygnębiający – pomyślałem sobie, że chłopcy już niczego nie czują, a matki płaczą do końca swoich dni. Pomyślałem też, że jeżeli politycy w pierwszej kolejności na wojny wysyłaliby swoich synów lub sami walczyli, to pewnie wojen by nie było.



foto. Krzysztof Danielewicz
Zdjęcie 110. Cmentarz i kwartał wojskowy przy przed Giumri.



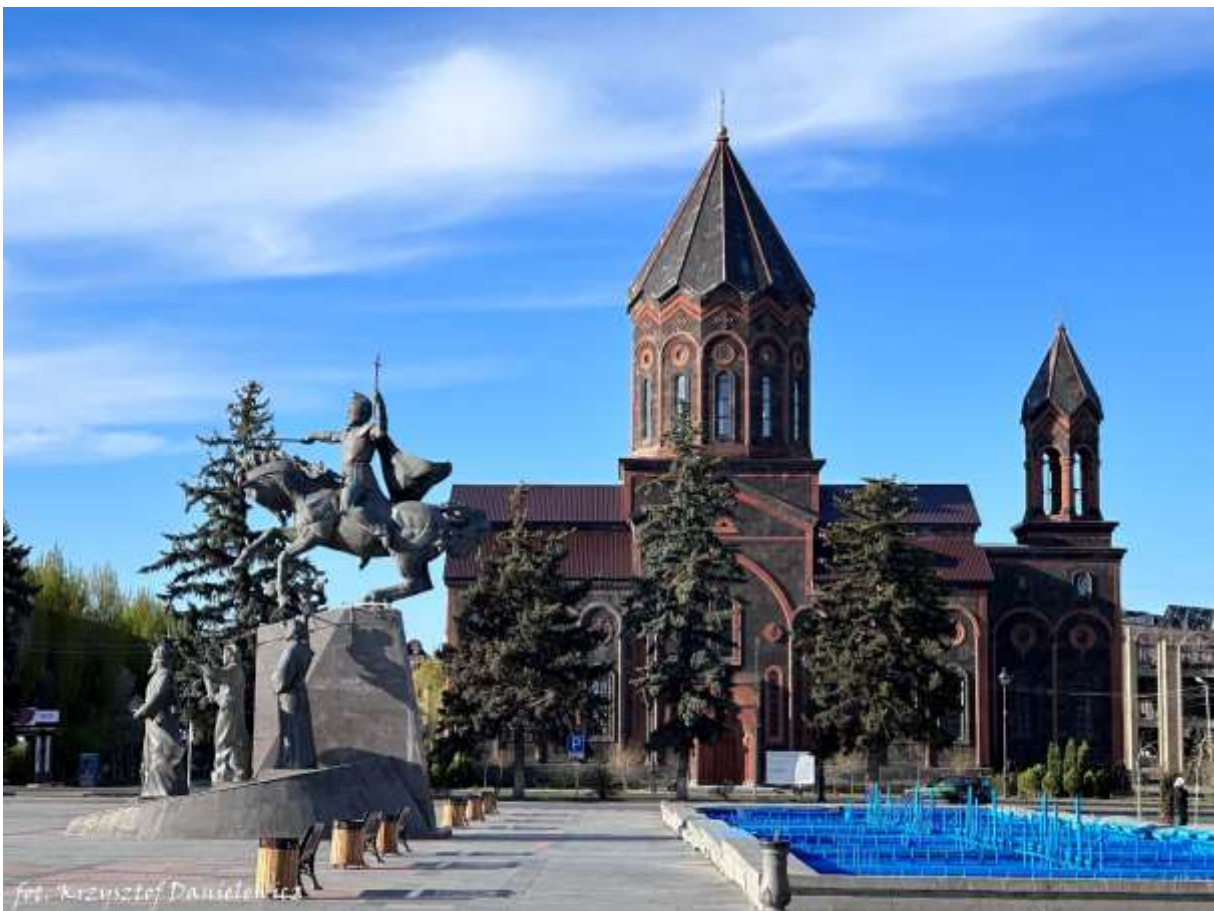
foto. Krzysztof Danielewicz
Zdjęcie 111. Obraz poległego żołnierza mieszkającego w tym budynku, Sevan.

Po tej bardzo przykłej refleksji nad ulotnością życia wjechałem do Giumri i dojechałem do hotelu. Po szybkim meldunku pięć minut później byłem już gotowy do robienia zdjęć miasta. Słyszałem, że ma ono bardzo ładną i odrestaurowaną starą część miasta. Idąc, widziałem ogromny plac Niepodległości z jakimiś rządowymi budynkami, ale niespecjalnie mnie to urzekło. Szedłem więc dalej tam, gdzie było dużo ludzi, mijałem teatr, gdzie akurat świętowano Międzynarodowy Dzień Teatru, plac zabaw, gdzie kręciły się karuzele na wzór radziecki i w końcu zobaczyłem to, co chciałem. Wszedłem w kwartał pięknie odrestaurowanych uliczek z latarniami i świetnie wyremontowanymi kamienicami, choć część nadal znajduje się w remoncie. Ze względu na późną porę łapałem każde ujęcie oświetlone słońcem. Widać było, że miasto było kiedyś silnym i bogatym ośrodkiem kulturalnym. Powiem szczerze, że to najładniejsze miasto, jakie do tej pory widziałem w Armenii, nawet Erywań nie może się równać. Idąc uliczkami, mijałem kościoły i doszedłem do ogromnego placu, przy którym znajdowały się urząd miasta i główny kościół czy nawet katedra.

Kiedy już nie było wystarczającej ilości światła do zdjęć, znalazłem restaurację, gdzie zjadłem pyszną kolację, tj. chinkali i szaszłyk. Wracając do hotelu, zrobiłem jeszcze kilka nocnych ujęć. Po drodze mijałem kilku starszych i wstawionych panów w parku, gdzie jeden z nich krzyknął „Chwała Rosji”, myśląc, że jestem Rosjaninem, ale nie doczekał się mojej reakcji...















Zdjęcie 112–122. Zabytki Giumri.

Dzień siódmy (5.05.2023) – wyjazd do Bordzomi w Gruzji

Zgodnie z planami miałem pojechać do Gruzji i odwiedzić miasto Bordzomi, w którym produkuje się moją ulubioną wodę mineralną o tej samej nazwie. Przed samym wyjazdem o godzinie 7.00 poszedłem jeszcze porobić zdjęcia starej części Giumri, ponieważ dzień wcześniej trochę zabrakło mi czasu i słońca. Rano miasto praktycznie było puste, żadnego ruchu i żadnych ludzi na ulicach, coś niesamowitego, chodziłem po ulicach i poza mną byli tylko sprzątacze. Wszedłem do napotkanej piekarni i kupiłem sobie świeży chlebek prosto z piekarni, która znajdowała się w bocznej uliczce.

Zdjęcie 123. Poranny wypiek chleba w Giumri.

Około 8.00 wyjechałem z miasta, kierując się prosto na granicę, do której miałem około godziny jazdy. Po drodze mijałem tylko wsie, które w miarę zbliżania się do granicy wyglądały coraz biedniej, a przy samej granicy – jakby świat i Bóg o nich zapomnieli. Sama droga przez ostatnie około 10 km była bardzo złej jakości, chwilami nie dało się nawet omijać dziur, tyle ich było, i trzeba było ograniczyć prędkość do kilku kilometrów na godzinę, aby nie urwać koła. Praktycznie do żadnej ze wsi nie prowadziła droga asfaltowa, gospodarstwa wyglądały

jakby za chwilę miały się rozsypać, domy i budynki gospodarskie szare, smutne, ale jednocześnie magiczne w połączeniu z pięknem przyrody. Pomimo wszystko były to tereny, które naprawdę warto zobaczyć, było coś naprawdę urzekającego w ich prostocie, chaosie, nie wiem, jak to nazwać. To tylko pokazuje, że ludzie żyją z powodzeniem wszędzie i do każdego warunków są w stanie się przystosować.

Z kolei widoki wynagradzały złą jakość dróg, teren wyraźnie się podnosił, nie było praktycznie drzew, tylko wszędzie pofałdowany łąkowy teren, z kolei z oddali wyłaniały się zaśnieżone szczyty. W pewnym momencie musiałem się zatrzymać, ponieważ widok mnie urzekł. Ogromny porośnięty trawami płaski teren, przez który wiała się rzeczka, a w oddali widoczne zaśnieżone szczyty.







Zdjęcie 124–128. Ciekawe widoki na trasie Giumri – granica z Gruzją.

Wreszcie wjechałem na granicę ormiańsko-gruzińską. Każda granica zawsze podnosi mi nieco poziom adrenaliny, bo nie wiem, czy nie będzie jakichś trudności. Najpierw sprawdzenie paszportu przez żołnierza pogranicznika, następnie celnik sprawdził, czy czegoś nielegalnego nie przewożę i w końcu szczegółowe sprawdzenie paszportu przez kolejnego pogranicznika i wertowanie bogatego w pieczątki paszportu, i to tylko przez ormiańską stronę. Oczywiście pytania, gdzie i po co jadę, i dlaczego do Bordżomi, po prostu jak nasze europejskie standardy, mentalne średniowiecze. Następnie strona gruzińska, tylko w odwrotnej kolejności: najpierw długie wertowanie mojego paszportu, pytanie o jakąś pieczętką, skąd ona, bo niewyraźna, i w końcu celnik pyta, czy wódki nie wwożę. Strażnik graniczny tłumaczył jeszcze, że muszę pojechać około 18 km, gdzie będzie budka, w której muszę wykupić obowiązkowe ubezpieczenie komunikacyjne na auto, minimum 15 dni, pomimo że potrzebuję na kilkanaście godzin, ale wiadomo, kasę każdy lubi. Po dojechaniu do tego punktu okazało się, że system siadł po raz pierwszy w historii. Myślałem, czy to nie jakiś znak, aby się cofnąć, ale nie, postanowiłem realizować plan bez względu na wszystko. Po około 40 minutach w końcu pan z kolegą kupili mi ubezpieczenie w automacie, który stał w biurze od początku. Powiedzieli, że robią to pierwszy raz w życiu.

Z dużym opóźnieniem w końcu ruszyłem bez problemu przez Gruzję w kierunku na Bordzomi. Od razu widać ogromną różnicę w zamożności pomiędzy Armenią i Gruzją, oczywiście z korzyścią dla Gruzji. Różnica była taka, jak pomiędzy Polską a Niemcami jakieś 20 lat temu. Wsie i miasteczka są dużo bogatsze, lepiej poukładane.

Po jakichś 35 km w małym miasteczku zjechałem serpentyną w dół w kanion, przez który prowadzi droga, wzdłuż kanionu obok drogi biegnie też mała rzeczka. Jak się okazało, tym pięknym kanionem jechałem ponad 100 km – rzeczka przemieniła się w wartką rzekę, a góry stawały się coraz piękniejsze, wyższe i bardziej porośnięte lasami. Po drodze co chwila się zatrzymywałem, aby zrobić zdjęcia, bo uważałem, że widzę piękny widok, po czym po chwili okazało się, że kolejny jest bez porównania piękniejszy.



Zdjęcie 129–130. Piękna natura po gruzińskiej stronie.

Po jakim czasie dostrzegłem z daleka magicznie położony zamek – jak się później okazało: zamek Khertivisi – na szczycie góry. U jego podnóża biegły droga i rzeka, a całość otaczały piękne szczyty. Na miejscu zastałem świetnie przygotowaną infrastrukturę turystyczną, a po chwili podjechał bus z polskimi turystami. Kupiłem sok z granatu i szybko nawiązałem relację z panem, który mi go przygotował – wzięłem od niego namiary na wypadek, gdyby w przyszłości trzeba było zrobić na miejscu degustacje wódki i wina dla moich pierwszych w Gruzji turystów.





Zdjęcie 131–133. Zamek Khertivisi.







Zdjęcie 134–138. Piękna natura po gruzińskiej stronie.

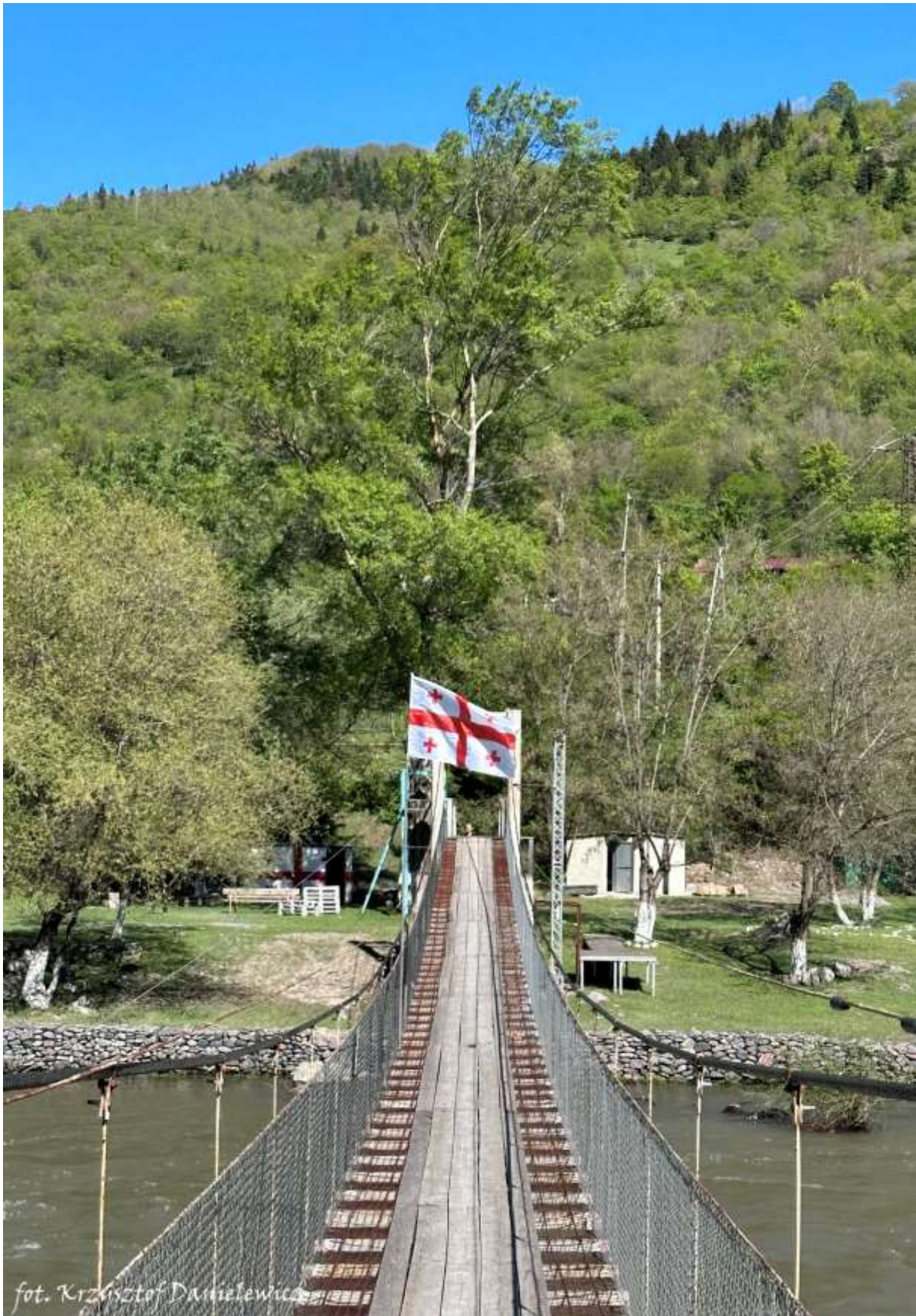
Po drodze zatrzymałem się kilka razy, aby zrobić zdjęcia, choć brakowało czasu, aby poczuć tę piękną gruzińską wiosnę i górską zieleń. W okolicy mijanego kolejnego zamku też zrobiłem kilka zdjęć. Po prawie czterech godzinach dotarłem wreszcie do Bordzomi, który jest pięknie położoną górską miejscowością turystyczno-uzdrowiskową. Piękne budynki, park, pokryte szczyty wokół, idealne miejsce na przynajmniej trzy dni. Po drodze zarówno przed, jak i za Bordzomi znajdowały się małe miejscowości górskie, gdzie wszędzie serwują pyszne i niedrogie jedzenie gruzińskie, jak chinkali, szaszłyki, kebab czy chaczapuri, o winie czy wódce nawet nie wspominając.

Ze względu na ciągły niedoczas – bo musiałem przecież jeszcze wrócić – szybko zjadłem pyszne chaczapuri w miejscowości poleconej mi przez młodego ormiańskiego policjanta poznanego na granicy. Zamówiłem też pyszny szaszłyk, ale to było już za dużo i nie dałem rady całego zjeść.



Zdjęcie 139. Wjazd do Bordzomi.







Zdjęcie 140–143. Bordżomi.

Po obiedzie i 40-minutowej przerwie wróciłem do Giumri tą samą drogą. Po drodze mijałem te same inwestycje drogowe i energetyczne, które Gruzini realizują w górach, widziałem te same piękne góry i doliny, jednak z drugiej strony i przy innym świetle. Naprawdę te góry i lasy wiosną wyglądają wyjątkowo pięknie i soczyscie. Po drodze kilka razy musiałem prawie stanąć, ponieważ tresowane krowy wracały z gór do swoich gospodarstw. Piszę: „tresowane”, ponieważ one idą stadami same, nikt ich nie prowadzi czy nie popędza.

Na granicy po stronie gruzińskiej wszystko przebiegło szybko i sprawnie, ale Ormianie zadawali dużo pytań. A po co jadę, a dlaczego byłem w Azerbejdżanie. Tłumaczę, że pojechałem tylko na dzień do Gruzji, że jestem od tygodnia w Armenii, a ten dalej: a gdzie mieszkam, a numer telefonu, adresy hoteli itp. Powiem szczerze, że jeszcze z dwa razy i nigdy tu nie przyjadę.

Późnym wieczorem dotarłem do hotelu, wziąłem szybki prysznic i zasnęłem na osiem godzin. Rano musiałem wstać i jechać do Erywania, aby do godziny 12.00 oddać samochód.

Dzień ósmy (6.05.2023) – powrót do Erywania

Rano o godzinie 8.00 byłem już w samochodzie. W hotelu zrobiłem jeszcze szybki trening, aby utrzymać formę, co nie jest proste, gdy się codziennie je mięso, spożywa nieregularne, ale obfite posiłki i pije koniaczki. Drugi dzień nie jadłem śniadania, ponieważ postanowili je wydawać pomiędzy 10.00 a 11.00, kompletnie bez sensu, nigdy takiego systemu na świecie nie widziałem.



Zdjęcie 144. Kolejne piękne widoki po ormiańskiej stronie.

Powrót przebiegał dosyć sprawnie i szybko, gdyż na całej odległości pomiędzy Giumri a Erywaniem jest autostrada – co prawda w różnych stadiach zaawansowania. Zrobiłem kilka ujęć góry Ararat, którą pięknie było widać, oraz kwiatów porastających mijane pagórki. Po drodze zatrzymałem się w przydrożnym barze i zamówiłem pyszny kebab podawany na płaskim chleбку o nazwie lawasz.



Zdjęcie 145. Piękne łąki na trasie do Erywania.





Zdjęcie 146–147. Święta góra Ormian – Ararat.

W hotelu zostawiłem bagaż i pojechałem oddać samochód. Przyjął go Ormianin, który przez wiele lat pracował w Polsce w Pabianicach jako księgowy. Mówi perfekcyjnie po polsku, więc oczywiście wziąłem namiary, bo mogą się przydać w przyszłości, jeśli będzie trzeba wozić turystów. Takie kontakty są bezcenne. Na szczęście polerka samochodu zrobiona w Vanadzor w przydomowym garażu zrobiła swoje i odbierający Ormianin niczego nie stwierdził, dodatkowo nasza miła rozmowa po polsku nie pozwalała mu skupić się na pracy.

Następnie poszedłem spacerkiem na stadion, bo jadąc, widziałem, że jest tam pchli targ. Niestety długi spacer nie był wart wysiłku, nic tam nie ma, same bezużyteczne starocie. Po 14.00 mogłem w końcu wejść do pokoju hotelowego, gdzie przydała się odrobina wypoczynku. Po południu pozostał mi już tylko spacer po głównych deptakach Erywania, posiłek i słuchanie muzyki na żywo w klubo-restauracji Atmosphere. Co bym nie robił, w Erywanii i tak wieczorem lądowałem w moim ulubionym klubie.



Zdjęcie 148. Targowisko przy stadionie w Erywaniu.



Zdjęcie 149. Meczet w Erywaniu.



Zdjęcie 150. Słynne Kaskady w Erywaniu.



Zdjęcie 151. Główny deptak w Erywaniu nocą.



Zdjęcie 152. Budynek Ministerstwa Finansów w Erywaniu.

Podsumowując, Armenia to bardzo ciekawy i godny polecenia kraj, szczególnie jeżeli ktoś tu jeszcze nie był. Jest bezpiecznie, ludzie są bardzo mili i otwarci. Warto znać rosyjski, który jest tutaj podstawowym językiem komunikacji, poza ormiańskim oczywiście. Jeżeli chodzi o ceny,

to Erywań jest na poziomie dużych miast polskich, i to ich centralnych ulic. Za cenę dwóch kulek lodów w Erywaniu mamy obiad dla dwóch osób na dalekiej prowincji. Na prowincji w większości miast, które widziałem, nie ma za dużo atrakcji, poza oczywiście pięknymi widokami, naturą czy kuchnią ormiańską. Wsie są bardzo biedne, zaniedbane, ale też klimatyczne, jeżeli ktoś nie widział starego sowieckiego stylu. Można bez problemu jeździć po całej Armenii wynajętym samochodem, a nawet udać się do sąsiedniej Gruzji. Drogi główne są w bardzo dobrym stanie, poza wyjątkami. Jeździ bardzo dużo policji na światłach, ale bez syren – jest to gruziński model polegający na tym, że policja ma być widoczna, aby ludzie czuli się bezpiecznie. Armenia jest rajem dla osób lubiących dobrze zjeść i napić się dobrego alkoholu. Wódkę własnej roboty można kupić na straganach. Szaszłyki czy kebab są bardzo smaczne, co wynika ze sposobu hodowli zwierząt. Zwierzęta pasą się wolno na pięknych i czystych ekologicznie łąkach. Bardzo fajnym rozwiązaniem są powszechnie ustawiane maszyny do kawy, która kosztuje w przeliczeniu 1 lub 2 PLN.